GOSPODARKA NARODOWA
NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 LISTOPADA 1936 R.
Nr. 22 ROK VI

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 22

1936 R.

15 — XI

ZESPÓŁ

ZADANIA KONSTRUKTYWNE

Zadanie wzmożenia twórczości myślowej, zadanie, które w artykule pt: „Punkt Wyjścia“ uznaliśmy za warunek konieczny dla osiągnięcia dostatecznego tempa rozwoju, napotyka w społeczeństwie polskim na szczególne przeszkody i opory. Jesteśmy społeczeństwem — byliśmy nim zawsze — anty - intelektualnym. W języku potocznym słowa „teoria“ i „teoretyk“ posiadają u nas sens bezmała pogardliwy. Z największą łatwością przyjmują się i z największym trudem dają się wykorzenić wszelkie poglądy, stanowiące namiastkę rzeczywistego wysiłku myślowego, poglądy, które właściwie są tylko rozgrzeszeniem z zaniechania prawdziwego wysiłku. Do rzędu takich poglądów zaliczyć musimy tę niezmiernie często spotykaną postawę, która opiera się na fatalistycznym przekonaniu, że jesteśmy bezsilni wobec „żelaznych praw“ rządzących rzeczywistością, że procesy historyczne są tylko mechanicznym łańcuchem zdarzeń, że rola człowieka w tych procesach jest rolą marionetki, lub conajmniej aktora komedii del arte. Łatwizną myślową takiego samego rzędu są również te poglądy, które dostrzegają czynną rolę człowieka w procesach dziejowych, lecz nie umiejąc sięgnąć głębiej, rolę tę sprowadzają do sztuki, czy raczej sztuczek rządzenia.

Twierdzimy, że jest inaczej. że inną jest rola i inny obowiązek człowieka w społeczeństwie. Twierdzimy, że historię tworzy człowiek, albo, wyrażając się ściślej, tworzą zwarte zespoły ludzkie. Twierdzimy, że proces narastania wartości kulturalnych i dóbr materialnych tylko w oczach nietwórczych, pasożytniczych dziedziców cudzego dorobku przedstawiać się może jako proces samoczynny, bowiem prawdziwą treścią tego procesu jest ustawiczny, powszechny, twórczy trud i wysiłek. Twierdzimy z kolei, że najwyższe napięcie wysiłku twórczego i najbardziej celowe zużycie ludzkiego trudu możliwe jest dopiero wtedy, kiedy rozwiązywanie zadań dnia codziennego przez każdy poszczególny człon organizmu społecznego zostaje oparte na jasnym określeniu celów zbiorowych, na harmonijnym i szeroko rozbudowanym systemie norm. Aby dzisiejszą skomplikowaną rzeczywistość można było konsekwentnie kształtować, aby nie uprawiać polityki sprzecznych celów, aby po jednym kroku naprzód nie czynić dwóch kroków wtył, aby nie kruszyć wewnętrznej więzi — zespół ludzki musi być związany nie tylko wspólnością emocjonalnych dążeń, nie tylko wspólnotą doli i niedoli materialnej, lecz i wspólnotą twórczości myślowej.

Powiedzmy wyraźnie — o jaki zakres norm chodzi. Powiedzmy to tem bardziej wyraźnie, że jakeśmy to rzekli wyżej, społeczeństwo polskie jest społeczeństwem anty - intelektualnym, i przeto zbyt łatwo z niepowetowaną na dłuższy dystans szkodą umie zaspakajać swój głód programu i ideologii przemijającemi namiastkami. *Chodzi o doktrynę, chodzi o program, chodzi o plan* — trzy „piętra“ systemów normatywnych, które z kolei nie dają się zbudować bez pewnych szerszych podstaw filozoficznych i historiozoficznych.

Doktryna jest systemem norm najbardziej ogólnych. Treść jej jest niezależna od czynników przypadkowych, a nawet koniunkturalnych. Niezależna też jest od spraw taktycznych. Doktryna wskazywać musi kierunek zamierzonej przebudowy strukturalnej.

Programy są systemami normatywnymi niższego rzędu niż doktryna, opierają się one na doktrynie, jako na podstawie normatywnej i stanowią jej wykładnię w zastosowaniu do dzisiejszego stanu rzeczy.

Plany wreszcie są systemami najbardziej szczegółowymi, oparte są na aktualnym programie, jako na podstawie normatywnej, określają środki i etapy realizacji programu, czerpiąc przesłanki ze szczegółowych dziedzin wiedzy o rzeczywistości społeczno - gospodarczej.

Nie może być mowy o logicznym zbudowaniu planu bez oparcia go o szersze przesłanki programowe. Nie może być mowy o budowie programu, zdolnego wytrzymać próbę choćby troszkę dłuższego okresu czasu, choćby troszkę bardziej złożonych zagadnień — bez oparcia go o przesłanki doktrynalne. W braku świadomie przyjętych przesłanek doktrynalnych każdy program opierać się musi o przesłanki przyjęte bez pełnej świadomości, nie wyprecyzowane, nieraz nawet rozbieżne. Jeśli się np. nie rozstrzygnie tak „teoretycznego“ zagadnienia, jak pojęcie celu gospodarowania, nie sposób znaleść kryteriów gospodarczych, rozstrzygających w wypadku praktycznych konfliktów interesu jednostkowego lub grupowego z szerszym interesem gospodarczym.

Brak uświadomionej potrzeby doktryny jest dotkliwem niebezpieczeństwem — utrudnia budowę systemu doktrynalnego, a przez to wyklucza stworzenie dla działalności dnia codziennego podstaw wzmagających i porządkujących wysiłek ludzki. Powstawanie doktryny jest procesem złożonym i trudnym. Bezwątpienia nie tworzy się jej na zamówienie, bezwątpienia nie jest to prosty problem dobrej woli i wysiłku intelektualnego. Przeciwnie, powstawanie doktryny jest procesem socjologicznym, w którym grupom intelektualistów przypada rola redagowania, rola uświadomienia i sformułowania tego, co nurtuje psychikę mas ludzkich, stanowiących Naród. Jest to także proces trwały, nie kończący się właściwie nigdy, pomimo, iż zmiany doktryny nie mogą następować na tle zmian w sytuacji praktycznej, zmian przypadkowych, a nawet koniunkturalnych, jakeśmy to powiedzieli wyżej. Doktryna musi być pozbawiona dogmatycznej sztywności, jej zmienność jest prostym wynikiem coraz dalej idącego dojrzewania myślowego Narodu, korzystania z coraz nowych zdobyczy twórczości myślowej.

Nie podejmując próby merytorycznego rozwiązywania problemów doktrynalnych, można jednak wyliczyć podstawowe grupy zagadnień, których rozwiązanie stanowić musi oś doktryny i jej filozoficznych przesłanek.

Prolegomena doktryny, owe filozoficzne jej przesłanki, zawierać powinny pogląd na to, co w braku lepszej nazwy nazwalibyśmy mechanizmem narastania historii. Mechanizm narastania historii — a więc określenie roli, jaka w procesie dziejowym przypada człowiekowi, a przede wszystkim ustalenie, czy źródła procesów rozwojowych poszukuje się w czynnikach materialnych, czy poza-materialnych. Ściślej mówiąc, nie widać zresztą powodów, ażeby odpowiedź na to ostatnie pytanie brzmiała jako wybór jednej z dwóch alternatyw, by pogląd na mechanizm dziejów miał być monistycznym, stając na gruncie bądź materializmu dziejowego, bądź też idealizmu. W grę wchodzić bowiem może również trzecia konstrukcja, dopatrująca się źródeł procesów historycznych w obu grupach zjawisk, w pewnym określonym stopniu i wzajemnym powiązaniu.

W kraju biednym, który chce i musi w rekordowym tempie wydostać się na poziom wysoki, centralnym tematem doktrynalnym powinna być *twórczość*. Nie mamy tu na myśli twórczości jednostek, pustelników, czy pięknoduchów, myślimy o twórczości wielkich zespołów, o świadomych procesach twórczych dokonywanych przez milionowe masy.

W społeczeństwie, które oscyluje stale między szlachecką samowolą a bezmyślną dyscypliną pseudo-wojskową, jakże daleką od jej rozumnych i przemyślanych pierwowzorów, doktryna musi szczegółowo zająć się samym pojęciem zespołu. Niezbędna jest taka konstrukcja organizacyjna, która zapewni bujność myślenia i tworzenia, charakteryzującą każdą zdrową demokrację, a która z drugiej strony umożliwi olbrzymie na dyscyplinie oparte prace, właściwe ustrojom monopartyjnym. Rzecz prosta, pojęcia konstrukcji organizacyjnej nie można tu zwężać do zagadnienia rządzenia czy zagadnienia własności, bowiem istotną oś konstrukcyjną zespołów ludzkich stanowią normy moralne, przez te zespoły przyjęte.

Dopiero na podkładzie tych doktrynalnych założeń możliwa jest budowa programu społeczno - gospodarczego, a z kolei w ten sposób zbudowany program społeczno - gospodarczy jest warunkiem niezbędnym, ażeby można było stworzyć plan polityczno - gospodarczy, który by nie stawał co krok w sprzeczności z tem, co nazywane jest „czynnikami poza-gospodarczymi“, odgrywającymi coraz większą rolę we współczesnym systemie gospodarowania. Plan gospodarczy, który by wyzyskiwał dla celów gospodarczych, nie tylko czysto gospodarcze czynniki, ale potrafił dyskontować dynamikę mas, stanowiącą dziś dla szeregu krajów potężny atut w walce o miejsce pod słońcem.

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

GOSPODARKA I KULTURA

Dotychczasowe szlachecko - ziemiańskie cechy polskiej kultury utrudniały dostosowanie się Polski do tempa przemian gospodarczych i politycznych, odbywających się w Europie, kultura której jest kulturą miejską. Obecnie jednak stoimy już wobec faktu dojrzałości polskiej kultury miejskiej.

Między typem kultury danego społeczeństwa a jego rozwojem gospodarczym, ściślej mówiąc, jego sposobem, teorią i techniką gospodarowania istnieje bezpośredni związek i bezpośrednie *wzajemne* oddziaływanie.

Podkreślamy, że *wzajemne*, celem odgrodzenia się od stuprocentowego materializmu ekonomicznego, a również czystego idealizmu, gdyż spór o prymat między duchem a materią w dziejach ludzkości jest podobny do sporu na temat co było pierwej — jajko czy kura. Procesy psychiczne i materialne w rozwoju ludzkości, są to tylko dwie strony jednego zagadnienia, względnie dwa kąty widzenia, uzupełniające się nawzajem.

Kultura jest całokształtem duchowego dziedzictwa narodu i z uwagi na zróżniczkowanie społeczne nie może być czymś całkiem jednorodnym. Dlatego mówimy często o kulturze szlacheckiej, mieszczańskiej, lub ludowej. W każdym narodzie istnieje warstwa przodująca, warstwa produkująca wartości duchowe, a więc naukę, sztukę, publicystykę. Warstwa ta zwykle uchodzi na zewnątrz za reprezentanta całości kultury narodowej, co zresztą praktycznie rzecz biorąc odpowiada rzeczywistości, bo przez nią wypowiada się naród w swych dziełach. Nigdy oczywiście wypowiedź ta nie jest pełną i nigdy nie obejmuje całego narodu do głębi. Ale jest pewien stopień obejmowania przez tę wypowiedź rzeczywistej rzeczywistości narodu, poniżej którego nie wolno schodzić, bo jeśli to nastąpi, to kultura warstwy przodującej przestaje reprezentować kulturę narodową, albo, inaczej rzecz ujmując, warstwa przodująca przestaje być warstwą przodującą.

Typ kultury związany jest z typem gospodarki i techniki wytwarzania. Inna więc jest kultura społeczeństw rolniczych a inna przemysłowych. Rozwój techniki wymaga odpowiedniego poziomu kultury umysłowej, a postęp gospodarczy idzie w kierunku wytyczanym przez rozrost potrzeb, pobudzających do twórczego wysiłku. Dynamizm potrzeb i ich rodzaj znowuż wynikają z typu kultury danego społeczeństwa, a uświadomienie potrzeb i umiejętność ich zaspokojenia wymaga określonego poziomu kultury.

Kulturę zachodnio - europejską przywykliśmy nazywać kulturą mieszczańską, względnie burżuazyjną. Ta druga nazwa, zawierała w sobie, przynajmniej w polskim języku, odcień klasowego, proletariackiego przeciwstawienia się, lecz w ostatnich czasach wyszła ona jakoś z użycia. Fakt ten ma swoje głębsze znaczenie. Kultura mieszczańska przyszła na świat jako przeciwstawienie kultury feodalno-szlacheckiej i opierała się na warstwie mieszczaństwa, warstwie w początkach swego istnienia dość nielicznej, zważywszy na powszechną przewagę ludności rolniczej w całej Zachodniej Europie i przy tem dość wyraźnie odseparowanej pod względem poziomu kulturalnego i stopy życiowej od warstwy robotniczej.

W ciągu wieku XIX postęp uprzemysłowienia spowodował rozrost miast, ludność miejska w wielu krajach zaczęła liczebnie dominować nad wiejską. Kultura mieszczańska zaczęła przenikać do warstwy robotniczej, w oparciu o wzrastającą stopę życiową tej ostatniej. Rozwój form społeczno - gospodarczych wytworzył warstwę społeczną o poziomie stopy życiowej i kultury równej mieszczaństwu a nawet przewyższającej jego doły, chociaż warstwa ta nie była warstwą posiadającą. Warstwy nieposiadające zaczęły same przyjmować udział w tworzeniu kultury poprzez literaturę, sztukę, naukę, publicystykę i politykę. Ustrój liberalno-demokratyczny sprzyjał temu procesowi pospołu z jednorodnością warunków bytowania, stworzonych przez urbanizację. Wojna europejska dokonała reszty w tym procesie, mieszając ze sobą w okopach „wszystkie stany". Kultura zachodnio-europejska przestała być kulturą mieszczańską, stała się kulturą *miejską* o poziomie zdaje się bardziej wyrównanym, niż się na ogół o tem myśli. Robotnik i fabrykant chodzą dziś często do tego samego kina, lub przynajmniej na ten sam film i czytają tę samą gazetę. *Podstawą materialną kultury miejskiej jest technika a zasadniczą cechą duchową — dynamizm.* I jeszcze na jedną rzecz należy zwrócić uwagę: w procesie przeistaczania się kultury mieszczańskiej w kulturę miejską zniknął *homo oeconomicus*, jako ideał człowieka gospodarującego. Ideał ten nie odpowiadał warstwie robotniczej, pracującej zbiorowo i nawykłej do masowej organizacji, lecz mieszczaństwo trzymało się go tradycjonalnie, chociaż struktura życia gospodarczego nie miała już nic wspólnego z tym ideałem. I tu też wojna, jako wielki zbiorowy wysiłek, dokończyła ewolucji. Zachodnio - europejski homo oeconomicus zginął bez wieści na froncie.

Kultura polska była dotychczas kulturą szlachecką, a więc rolniczą. Kultura rolnicza wedle powszechnie przyjętego mniemania jest konserwatywną, nie dynamiczną. Sądząc po polskiej kulturze szlacheckiej, twierdzenie powyższe jest w stu procentach słuszne. Wydaje się jednak, że nie można tego powiedzieć o kulturze rolniczej w ogóle, sądząc na przykład według Danii. Wszelki konserwatyzm jest możliwy tylko na dość wysokim poziomie zaspokojenia potrzeb, co ma właśnie miejsce w przypadku wielkich właścicieli ziemskich. Niedostatek i brak może wywołać dość silną dynamikę społeczno - gospodarczą i w rolnictwie

pod warunkiem dostatecznie wysokiego poziomu kultury duchowej. Jeżeli takiego poziomu nie ma, to na scenę występuje Szela.

Rozwój społeczno-gospodarczy i kulturalny Polski szedł nieco — odmiennemi drogami, niż w Zachodniej Europie. Warstwę mieszczańską w Polsce w ogromnej większości stanowili Żydzi, a w przemyśle element napływowy z Europy Zachodniej i dlatego kultura polska pozostała szlachecką mimo wszelkich przemian w tej Europie, do której należeliśmy naszą przeszłością i dziedzictwem duchowym. Pod względem czysto - gospodarczym wszystko było w porządku: rozwinął się przemysł, rozrósł się handel, zwłaszcza w Kongresówce, opartej o rynek rosyjski. Ale, że element przodujący gospodarczo był narodowo obcy, to warstwa szlachecka wciąż pozostawała warstwą przodującą kulturalnie i narzucała swój styl życia i myślenia miejskiej inteligencji pracującej, która zresztą i rekrutowała się ze zbankrutowanej i wydziedziczonej szlachty. Mimo to życie zmuszało jednak do przystosowywania się do nowych warunków zbyt odmiennych od gospodarowania na wsi. Struktura wytwórczości, podobna do europejskiej, sprzyjała upodobnianiu się kulturalnemu. O ile w dziedzinie twórczości artystycznej, kultura polsko - szlachecka dotrzymywała tempa Europie i zachowywała pełną narodową oryginalność, to w dziedzinie myśli ekonomicznej kalectwo strukturalno-społeczne spowodowało brak oryginalności i adaptacji gotowych pojęć przez kulturę szlachecką. W ten sposób pomiędzy żywymi i składającymi się z ciała i kości pionierami rozwoju gospodarczego przywędrował do Polski i *homo oeconomicus*. Przypadł on do gustu „szlachcicowi na zagrodzie" i upodobnił się doń, dostał indygenat i sam kupił majątek ziemski razem z przodkami w cenie kosztu. To też dziś sponiewierany przez kartele, Lewiatana i etatyzm, schronił się w prasie ziemiańsko-konserwatywnej Krakowa i Wilna, dwóch mało uprzemysłowionych, mało związanych z tętnem życia gospodarczego dziesiejszej Rzeczypospolitej miast. Poza tem żyje jeszcze w Łodzi, ale tam ma odmienny charakter, jest po prostu odmiennej, swoistej rasy. Krótko mówiąc jest to typowy Lodzermensch.

Najcięższe cięgi dostał polski nobilitowany homo oeconomicus od państwowej polityki gospodarczej. I to jest symptomatyczne. Polacy, jako cały Naród, prowadzili wojnę zbyt krótko, więc homo oeconomicus zdążył zadekować się. Ale stworzenie własnego państwa oznaczało wzięcie we własne ręce zbiorowych interesów gospodarczych narodu, podzielonego przedtem między trzy różnorodne organizmy gospodarcze. Zrastanie się trzech dzielnic o trzech odmiennych strukturach nie mogło przebiegać bez interwencji państwa. Homo oeconomicus, jako ideał gospodarczy nie odpowiadał konkretnym zadaniom odrodzonej państwowości polskiej.

Powstanie państwowości wywarło wpływ decydujący na przyśpieszenie rewolucji społeczno - gospodarczej w kierunku zachodnio - europejskim. Mimo bowiem kalectwa społeczno - gospodarczego, jakim był niedorozwój polskiej warstwy mieszczańskiej, ewolucja ta odbywała się.

Wraz z uprzemysłowieniem rosły miasta, rosła ludność robotnicza i inteligencja miejska. Na tym gruncie urodził się najprzód pozytywizm a potem robotniczy ruch socjalistyczny, do którego przylgnęła część inteligencji miejskiej, zbliżonej do robotników swą miejską już mentalnością. Były to narodziny polskiej kultury miejskiej. Literatura w swej tematyce wkracza w zakres życia miejskiego (Prus). Ale wpływy kulturalne szlachetczyzny są wciąż potężne, wyższe warstwy mieszczańskie ulegają jej wpływom, nie mogą wyzwolić się z pod jej czaru nawet tak wielcy wytwórcy wartości duchowych, jak Żeromski. Ale zbratanie się miejskiej inteligencji z warstwą robotniczą w ruchu socjalistyczno - niepodległościowym przetrwało.

Organizacja Państwa stworzyła ogromne zapotrzebowanie na inteligencję. Otworzyły się drogi awansu społecznego dla masy inteligentów nieszlacheckiego pochodzenia, zamieszkałej po miastach od paru pokoleń. Trzeba było rozwiązywać nowe zadania, nie przemyślane i nie poruszane przez dotychczasową spuściznę kulturalną. Co więcej—trzeba było działać szybko, chwytać rytm postępu europejskiego i okazało się wówczas, że pozbawiona dynamiki postawa duchowa kultury szlacheckiej i wąski krąg zagadnień objętych polską myślą kulturalną — nie nadaje się do tego celu. Władza, szkoła, myśl i decyzja skoncentrowały się w miastach. Miasto samo zaczęło tworzyć kulturę.

Mieszczaństwo polskie było słabe liczebnie i kulturalnie, nie mogło więc ono wywrzeć takiego wpływu na kulturę miejską jak w Zachodniej Europie. Głównym twórcą tej kultury stała się inteligencja miejska, która w Europie była tylko łącznikiem między mieszczaństwem a robotnikami. Stworzenie aparatu państwowego oraz interwencjonizm gospodarczy państwa, wybitnie wzmocnił miejską inteligencję liczebnie, ekonomicznie i politycznie. Ale mieszczaństwo właściwe też rosło. Rosnące na sile mieszczaństwo wniosło do kultury miejskiej antysemityzm i uświadomiony nacjonalizm. Antysemityzm — to negacja pewnego stanu rzeczy, negacja przybierająca nieraz formy niezdrowe, ale przecież ów stan rzeczy, który się neguje, jest też niezdrowy. Poza tem są postulaty pozytywne. Przedwojenne drobne mieszczaństwo polskie reprezentowało w dziedzinie społecznej i kulturalnej ciasny partykularyzm i kołtuństwo. Dzisiaj wysuwa ono radykalne hasła społeczne. Jest to jeszcze jeden objaw dojrzałości kultury miejskiej, jako dążenia do syntezy postulatów społecznych różnych warstw ludności miejskiej. Biurokracja przyczyniła się do tej syntezy niemało, gdyż siłą rzeczy musiała ona zajmować stanowisko ponadklasowe, choć nie zawsze w praktyce udawało się jej to idealnie.

Cechą każdej kultury miejskiej jest demokratyzm. Pojęcie to jest dwuznaczne, może bowiem być rozumiane w sensie ustroju politycznego i w sensie społecznym. Istotą kultury miejskiej jest to drugie, aczkolwiek panuje jeszcze pod tym względem chaos myślowy. Jeśli będziemy pojmować demokratyzm jako prawo równego startu w życiu i jako przeciwstawność szlacheckiego arystokratyzmu, który usiłuje odrodzić się pod postacią elitaryzmu, to demokratyzm jest wspólny polskiej kulturze miejskiej, jako całości. Dla jasności zaznaczmy, że demokratyzm nie wyklucza hierarchii.

Nawet powierzchownemu obserwatorowi polskiego życia rzuca się dziś w oczy jeden fakt — niebywała jednolitość diagnozy naszych niedomagań gospodarczych w całej prasie wszystkich kierunków, a w znacznej mierze i postulatów w stosunku do polityki gospodarczej. Zagadnienia przeludnienia wsi, uprzemysłowienia, podniesienia potencjału militarnego są tak powszechne, że ostrość reakcji przeciw polityce, skierowanej na walkę z przeludnieniem wsi, jeszcze bardziej tę powszechność podkreśla. W czem tu tkwi tajemnica? Odpowiedź jest prosta: publicystyka jest opanowana przez młodą generację, wychowaną w polskiej szkole, wykarmioną polską rzeczywistością, przesiąkniętą kulturą miejską. Generacja ta widzi zbawienie w industrializacji, motoryzacji, rozwoju techniki i w szybkim tempie przemian ustrojowych. Oczywiście o zupełnej jedności poglądów wśród młodej generacji nie może być mowy, ale faktem jest, że rozumowanie i odczuwanie odbywa się na jednej płaszczyźnie, że zasadnicza koncepcja rzeczywistości dzisiejszych producentów idei społeczno - gospodarczych jest jedna i ta sama i przeciwstawna koncepcji starszego pokolenia. Koncepcja ta, to synteza robotniczo-inteligencko - drobno - mieszczańska, przetopiona w tyglu wielkomiejskim na nową i samoistną całość.

Szturm kultury miejskiej szedł przez publicystykę, politykę i naukę. Koroną i kwiatem wszelkiej kultury jest jednak twórczość literacko - artystyczna, która syntetyzuje wrośniętą już w podświadomość wizję rzeczywistości.

Symptomy dojrzewania kultury miejskiej można obserwować na literaturze pięknej. „Lalka“ Prusa była kiedyś wydarzeniem. Dziś tematyka życia miejskiego już chyba przeważa w powieści i mocną nogą stanęła nawet w poezji, gdzie asfalt zdobył równouprawnienie z zieloną murawą. Świat widziany oczami przybysza ze wsi inaczej wygląda w oczach „mieszczucha”, zwłaszcza gdy ten wyszedł z t. zw. „dołu”. I wtedy to już nie jest tylko kwestia tematyki, to już jest inna koncepcja rzeczywistości, względnie to ta sama rzeczywistość, widziana innymi oczami.

Radykalny inteligent szlacheckiego pochodzenia, lub o szlacheckiej kulturze, chcąc zrozumieć i odtworzyć życie i światopogląd warstwy robotniczej czy chłopskiej musiał uciekać się do pośrednictwa jakiejś teorii naukowej, która mu wyjaśniała sposób myślenia tych warstw. Najczęściej tą teorią był marksizm, stąd tyle powieści i reportaży, przypominających traktaty o materializmie ekonomicznym. Ale gdy przychodzi człowiek „stamtąd“, to nie potrzebuje żadnej teorii, żeby wyrazić swą wizję świata. Wystarcza dojrzałość kulturalna i uzdolnienie artystyczne. Możliwem jednak staje się to dopiero wtedy, gdy cała warstwa dojrzeje kulturalnie, gdy uświadomi sobie swoją kulturę i uwierzy w jej wyższość. Przykładem takiego dzieła literacko - artystycznego, potwierdzającego pełną dojrzałość i samowiedzę polskiej kultury miejskiej są „Dziewczęta z Nowolipek“ Poli Gojawiczyńskiej. Z chwilą ukazania się tego dzieła możemy powiedzieć, że kultura miejska objęła już pełny asortyment produkcji wartości duchowych, nie potrzebuje kultury ziemiańsko - szlacheckiej, stwierdza jej nieprzydatność i odrzuca jej patronat. Staje się samowystarczalną. A jest jeszcze kultura ludowa, szybko dojrzewająca w słońcu niepodległości, mimo wszelkich plam, dostrzegalnych na tym słońcu uzbrojonym i nieuzbrojonym okiem. Kultura szlachecka przestaje być kulturą większości ludzi kulturalnych w Polsce, przestaje reprezentować kulturę polską, umiera jako kultura polska, a ludzie z Nowolipek wbijają gwoździe do jej trumny, lub budują gablotki muzealne.

Polska zmienia oblicze kulturalne z dnia na dzień i z roku na rok i fakt ten ma decydujące znaczenie dla przyszłości wszelkich koncepcyj polityczno - gospodarczych. Bo polityka ogólna, gospodarcza, nauka i sztuka są to tylko różne sposoby wypowiadania się narodu o sobie i wszystko to musi ulegać zmianom nie tylko w zależności od wydarzeń zewnętrznych, ale także i w miarę tego, jak rozrasta się zakres warstw społecznych i jednostek, które mają coś o sobie do powiedzenia. Żywa, przemyślana i głęboko odczuwana treść duchowa będzie zawsze szukała wypowiedzenia się w słowach i czynach. Dziś nowa kultura polska wypowiedziała się narazie w słowach w tem, co uważa za największe w Polsce zło gospodarcze. A „słowo, które naprawdę jest słowem — ciałem się stanie“.

WŁADYSŁAW GRABSKI

PLANOWOŚĆ W INWESTYCJACH WIEJSKICH

Zaniedbanie wsi naszej co do wszystkich podstaw kultury materialnej jest, poza dawnym zaborem pruskim i Śląskiem Cieszyńskim, rażące. Brak szos, brak pobliskich linij i stacyj kolejowych, brak murowanych i twardo krytych budynków wiejskich, brak osobnych szkolnych budynków wiejskich.

Dla przejeżdżającego obserwatora nie może być wątpliwości, gdzie zaczyna się brak kultury zachodniej, a rozpoczyna zaniedbanie wschodnie: linia ostrych kontrastów w tym względzie, to granica Poznańskiego i Kongresówki. Tak ostrych kontrastów nigdzie się nie spotyka. Linia dzieląca dawne Królestwo od kresów wschodnich uwidacznia znacznie łagodniejszy stopień różnic.

Dla złagodzenia tych kontrastów w Polsce robi się coś niecoś, ale zbyt mało. W stosunku do większej gęstości zaludnienia zachód dawnego Królestwa posiada mniej kolei, niż nasze kresy wschodnie, pomimo że leży tak blisko centrum Europy i tej części Polski, która stoi na jej poziomie, to jest Poznańskiego.

Wieś polska w słupeckiem, położona nad traktem automobilowym z Warszawy do Poznania, Berlina i Zachodu Europy, o kilka godzin samochodem od Niemiec, przypomina swoim wyglądem znacznie bardziej wsie rosyjskie, a szczególniej ukraińskie, aniżeli wieś niemiecką, czeską, a nawet polską z Poznańskiego lub Śląska Cieszyńskiego. Z tej wsi na całym pograniczu Poznańskiego i Śląska szły przed wojną liczne rzesze do Ameryki i do Prus po zarobek. Musi się ona stać podobną do okolic, do których dawniej szła ludność szukać pracy, albo też nie można się będzie dziwić, że w jej łonie muszą się odbywać procesy, które się z naszą państwowością pogodzić nie dadzą.

Czyż to nie jest rzeczą dla naszej państwowości upokarzającą, że na lewym brzegu Wisły do dziś dnia szosy obsadzone drzewkami owocowymi, są przeważnie pozostałością po Niemcach jako okupantach, a w niejednym miejscu na drogach powiatowych leżą przysypane gęstym kurzem kupy kamieni, nawet szabru, zwiezione i wytłuczone na skutek zarządzeń okupantów i do dziś dnia nie zużytkowane dla budowy szosy.

Potrzeba nam poważnej działalności inwestycyjnej wiejskiej, by wzmocnić wieś jako czynnik kultury ekonomicznej państwa i narodu, wzmocnić ją nie tylko materialnie, ale i duchowo.

Łatwo postawić tezy, ale jak je wykonać? Przecież nie są to rzeczy nowe i dawno wiadomo, że wszystko to potrzebne Polsce, ale skąd brać środki na urzeczywistnienie tych potrzeb? Takie właśnie uwagi słyszy się nieraz na dany temat.

Uwagi to niesłuszne. Przecież zupełnie bez zasobów nie jesteśmy. Mamy trochę środków własnych, których używamy na różne cele, ale najmniej właśnie na to, co wydaje się być najważniejszym. Przy dobrym i ściśle wykonanym planie postępowania własnych naszych zasobów na wiele rzeczy najważniejszych już by nieraz starczyło.

Chcąc Polskę przerobić na kraj równy Zachodowi co do podstaw kultury materialnej mas ludności i chcąc przełamać psychikę niewiary w Polskę, trzeba działać dwoma metodami: z jednej strony koncentracją wysiłków na określonym terytorium dla osiągnięcia w szybkim tempie pełnych rezultatów, wzbudzających wiarę, że Polska ma siły moralne, pozwalające jej zrównać się z tymi, co stoją na pierwszym planie; z drugiej metodą równomiernego, wszechstronnego ogarniania całości. Dziś tej pierwszej metody nie widzimy wcale, ani po wsiach, ani w miastach. W miastach budują się różne domki czy gmachy ze wszystkich jego stron, lecz żadna dzielnica nie nosi cech europejskich; po wsiach nie ma ani jednej gminy czy powiatu, który by nie miał pełno śladów grubego zacofania. Nie zaniedbując ruchu wszerz, trzeba go uzupełnić ruchem w głąb.

Należy skoncentrować działanie wszelkich władz i zespolić je z miejscową inicjatywą w celu, by w upatrzonych ośrodkach ludności wiejskiej wytworzyć zawiązki nowego typu społeczeństwa miejscowego, w odmiennych warunkach bytującego i urabiającego swój światopogląd na lepszych podstawach. A w dodatku, niech jednemu powiatowi, niech jednej grupie powiatów uda się taka masowa, powszechna robota podniesienia całej części Polski wzwyż, toć to będzie przykład, który wywoływać będzie chęć naśladowania i jednocześnie będzie dowodem, że Polska zdolna jest istotnie do dużych rzeczy. Należy jak najszybciej połączyć stolicę Polski z Zachodem jednym pasem o poziomie kultury nie mniejszym, jak w Poznańskiem. Stolica Polski musi być otoczona środowiskiem kulturalnym na wzór zachodni. Te pola w najbliższym promieniu Warszawy zostające w czerwcu pod wodą jakże smutny stanowią kontrast z pojęciem, jakie sami o sobie mamy. Pod samą Warszawą widzi się łatwo na wsi cechy czysto wschodniego brudu, zaniedbania i pierwotności kultury. A przecież o charakterze stolicy kraju nie decyduje jego centrum, a całe środowisko, w jakim się ona znajduje. Z tego środowiska idzie nieustanny napływ ludności, stała wymiana żywej fali ludzkiej.

Do tych wsi pod Warszawą, żaden samochód urzędniczy nie dojedzie, nikt ich nie zauważa, choć w pół godziny można dojść do nich piechotą od końcowej stacji tramwajowej i zobaczyć prymityw pełen brudu, wybojów, błota i zaniedbania na każdym kroku.

Jeżeli połączyć szerokim pasem Warszawę z Poznańskiem, otrzymamy zwartą masę powiatów o gęstej ludności polskiej, mającej dużo zalet gospodarczych, skąd przed wojną szła fala ludu wiejskiego do Ameryki i Prus, ludu o wyrobionej pracowitości. Dziś w tych powiatach marnuje się bez zużytkowania dużo energii ludności wiejskiej i rośnie silnie rozczarowanie co do istniejącego stanu rzeczy, niezależnie od licznych dotychczasowych usiłowań, by stan ten polepszyć.

Plan inwestycyjny powinien być mądrze obmyślany i dobrze wykonany. Często się zdarza, że dobrze się obmyśla, lecz robi właśnie co innego, a to co się ro-

bi jest słabo pomyślane i wykonane. Często się widzi, że zaczyna się wiele rzeczy naraz, a mało kończy. Mówi się jedno, robi się drugie. Skłonności do rzeczy nadzwyczajnych u nas nie brak. Zaś mądry plan inwestycyjny musi polegać na tem, by zamierzenia mogły być wykonane w całej pełni. Rodzaj drogi powinien być, co do swej szerokości, solidności i kosztowności uzależniony od ruchu; budynki szkolne powinny być, co do wysokości ścian oraz solidności typu budowli, zastosowane do intensywności użytku. Kilkadziesiąt kilometrów wspaniałej szosy z mostami cementowymi, kilka pałaców szkolnych na powiat i kilka wzorowych majątków, to jeszcze nie jest kultura kraju. Ale jeżeli nie będzie ani kilometra drogi gminnej z wybojami, i mostów z dziurami, i nie będzie ani jednego większego ośrodka ludności bez własnego budynku szkolnego choćby skromnego, ale przeznaczonego do celów nauczania, jeżeli wsie wszystkie będą dawały obraz solidnego zagospodarowania, wtedy dopiero będziemy mieli dowody kultury kraju na wsi.

Gdy tylko bywa rzucane hasło: „inwestycje", wnet zjawiają się ludzie pełni nowych pomysłów, ze swojemi ofertami. Oferty te dążą do rozdrapywania funduszów i dania folgi różnym fantastycznym pomysłom. A rzeczywistość karze za każdy grosz użyty bez koniecznej potrzeby. Gdy ten grosz użyjemy zbędnie, wtedy rzeczy konieczne zostaną niedokończone i zmuszeni jesteśmy w rzeczach najważniejszych zatrzymać się w pół drogi. Konieczną zaś potrzebą jest, by przeludniona i ciemna wieś mogła znaleźć sposób do życia lepszego niż dziś, to jest by umiała i mogła lepiej pracować. Do tego potrzeba wsi tego, co ma ona już dawno na zachodzie: stacje linij kolejowych w odległości nie dalej jak pół dnia jazdy tam i z powrotem (12 kilometrów), dróg dojazdowych do stacji, dostępnych dla ciężarów o każdej porze roku, osuszenia moczarów, zdrenowania gruntów, komasacji, porządnej nauki dzieci w szkole, ogniotrwałych zabudowań we wsi. Są to wszystkie rzeczy zwykłe. Dla przeprowadzenia ich nie potrzeba geniuszów, nie potrzeba nowych pomysłów. Ale potrzeba napięcia woli świadomej celu.

Umieć te proste rzeczy upowszechnić — to wielka rzecz, bo one będą decydowały o tem, czy staniemy się Zachodem w znaczeniu kultury gospodarczej i czy rozwiążemy zagadnienie przeludnienia naszej wsi.

W roku 1928, gdy pisałem moją ówczesną rozprawę na temat inwestycyj wiejskich, główny nacisk kładłem na inicjatywę samorządów powiatowych. Dziś należy inaczej patrzeć na tę sprawę. Inicjatywa powinna należeć do rządu. On podjął już sprawę inwestycyjnego planu państwowego. Obecnie powinien zapoczątkować plan inwestycyj dotyczących wsi, opierając je na osobnych zasadach.

Zasady te powinny być gruntownie przemyślane i opracowane. W ostatnich czasach poruszana była myśl, że należy inwestować przede wszystkim na kresach wschodnich, jako kraju najbardziej zaniedbanego. Do argumentu tego zaniedbania dodawany jest jeszcze inny, że na kresach przy pomocy inwestycyj można będzie najlepiej przywiązać do państwowości polskiej tamtejsze niepewne elementy. Ten ostatni argument musimy całkowicie odrzucić. Przede wszystkim jest rzeczą bardzo wątpliwą, by elementy niepewne można było przywiązać do państwowości przy pomocy inwestycyj, a powtóre ludność wiejska poza kresami również wcale tak pewna co do swojego przywiązania do państwowości polskiej nie jest i jeżeli patrzeć na inwestycje ze względu na ich efekt polityczny, to ważniejszym może być efekt ten w centrum niż na kresach. Ale na inwestycje, na ich planowość i kolejność najlepiej jest patrzeć wcale nie pod kątem ich wpływu na usposobienie ludności, a pod kątem ich wyników gospodarczych.

Gdy kto mając duży obszar ziemi ma pola lepsze i gorsze, bliżej i dalej od środka dyspozycyj gospodarczych (podwórza) położone, to ma do wyboru: dbać więcej o pola lepsze i bliższe, lub o pola dalsze lub o wszystkie równomiernie. Jeżeli gospodarz takiej ziemi będzie miał dużo środków, dużo inwentarza, dużo gnoju, będzie dbał i o jedno i o drugie pole w równej mierze, gdy będzie miał środków kultury bardzo dużo będzie podciągał słabsze i dalsze pola, by się z lepszymi i bliższymi zrównały. Ale jeżeli brakować mu będzie środków pieniężnych, inwentarza i narzędzi, to jako dobry gospodarz skoncentruje je na polach lepszych i bliższych, bo tutaj dadzą mu one lepszy i pewniejszy plon. Gdyby postąpił inaczej byłby złym gospodarzem i nie doczekałby się chwili nagromadzenia wystarczających środków, by móc wszystko dobrze uprawić, a nawet podciągnąć w górę słabsze i gorsze pola.

Polska ma mało sił i środków na cele inwestycyjne. Jeżeli chcąc je spożytkować planowo nie zrozumie konieczności, by je zużytkować tam przede wszystkim, gdzie ludność jest najbardziej do tego przygotowana, ażeby z nich wyciągnąć umiała największe korzyści — to postąpi jak zły gospodarz.

Zapewne, że tam gdzie dokonanych jest już dużo inwestycyj jeszcze w czasach przedwojennych nie byłoby racji ich dziś forsować. Jeżeli jednak idzie o drenowanie pól włościańskich, to właśnie kresy zachodnie są terenem, gdzie ta melioracja powinna przede wszystkim być popierana, bo tutaj ludność będzie umiała najlepiej wykorzystać znaczenie gospodarcze tej melioracji. Drogi ulepszone najlepiej wykorzystają gęsto zaludnione części Małopolski Zachodniej, województwa warszawskiego, łódzkiego i kieleckiego. Budynki szkolne tam najlepiej się opłacą, gdzie kultura ogólna ludności stoi wyżej, a brak jej tych budynków, co ma miejsce w częściach województw centralnych, przylegających do dawnego zaboru pruskiego. To samo dotyczy budownictwa ogniotrwałego. Zacząć trzeba wszędzie od tego, by pobudzać do posuwania naprzód tych przede wszystkim, którzy mają po temu najwięcej danych, by iść ławą naprzód silnie i wytrwale, tych którzy już sami próbowali kroczyć naprzód i dla których każda najmniejsza zachęta i podpora stanie się dźwignią do wzmożenia wysiłków własnych. Tego wymaga dobra planowość.

Czyż to oznacza skazanie najbardziej dziś zacofanych okolic na wieczny zastój? Bynajmniej. Wszak nie mówimy, że na kresach wschodnich nie należy wsi inwestować. Przeciwnie należy i to bardzo, ale nie w linii pierwszej. Dlaczego? Bo to się nie opłaci ani Polsce, ani kresom. Bo gdy zaniedbamy dziś najgęściej

zaludnione i najżywotniejsze ośrodki wsi polskiej, to tak osłabimy organizm narodowy gospodarczy Polski i organizm polityczny Państwa, że jutro zabraknie nam środków, by pomagać kresom. A gdy podniesiemy najsilniejsze ośrodki wiejskie polskie, to stać nas będzie, by jutro podnieść i kresy.

Lecz czyż nie jest rzeczą niesprawiedliwą, by słabszemu i bardziej zaniedbanemu kazać czekać, by lepiej postawiony wzniósł się na tyle, by mógł słabszemu dopomóc? Niesprawiedliwości w tem nie będzie żadnej. Zaniedbanie gospodarcze i kulturalne kresów, to nie jest wcale skutek przynależności do Polski, a odwieczny wielki dystans pomiędzy nimi a Polską piastowską. W państwie polskim dystans ten właśnie maleje. W porównaniu z plonami przedwojennymi (1909 — 1913) w województwach wschodnich plony wzrosły w latach 1931—1935 jak następuje: pszenica 9.5 do 9.9, żyto 8.1 do 8.8, jęczmień 8.2 do 10.3, owies 7.8 do 9.2, ziemniaki z 68 do 95, podczas gdy w województwach zachodnich widzimy silny spadek plonów — pszenica z 19.9 do 16.8, żyto z 16.9 do 13.6, jęczmień z 19.2 do 16.6, owies z 17.8 do 14.9, ziemniaki z 142 do 126. Jeżeli będziemy rozważali stan gospodarczy dzielnic Polski ze stanowiska sprawiedliwego ujęcia potrzeb tych dzielnic przez państwo nasze, to musimy przyznać, że czuć się może pokrzywdzone i zaniedbane rolnictwo w woj.: zachodnich i południowych, gdyż tutaj rolnik nie jest w stanie wydobyć tyle plonu co dawniej wobec dużo mniej korzystnych dla niego warunków. Natomiast województwa centralne a głównie wschodnie mają dziś dużo lepsze warunki niż przed powstaniem Polski, co wyraża się jasno we wzroście stałym plonów, którego nawet kryzys wcale nie zahamował.

Przeciwko temu zatem, aby na pierwszym miejscu w planie inwestycyjnym wiejskim stawiać części Polski bardziej na zachód i południo - zachód położone, jako tereny, na których przyniosą one najwyższy i najprędszy pożytek, nie można przytoczyć żadnego argumentu, uzasadnionego względami gospodarczymi.

Prócz zagadnienia, gdzie inwestować i w jakiej kolejności, plan inwestycyjny wiejski powinien rozważyć zagadnienie, jakiemi metodami współpracy rządu, samorządu powiatowego, gminy, wsi i pojedyńczych gospodarstw, mogą być inwestycje przeprowadzone najskuteczniej. O tej stronie planu inwestycyjnego pomówimy osobno.

KAROL JERZMIŃSKI

CYPRYSY NAD WISŁĄ

Koncepcja społeczno - gospodarcza realizowana z pożytkiem w jednym państwie — w innym może przynieść duże szkody. Przykład — zastosowanie w Polsce niemieckiej koncepcji organizacji stanu włościańskiego.

Zapożyczanie koncepcji zagranicznych dla rozwiązywania problemów wewnętrznych bardzo rzadko bywa trafne. Można ustalić pewien stosunek wprost proporcjonalny pomiędzy różnicami w charakterze podobnych problemów w kraju i zagranicą a sposobami ich rozwiązywania. Jest oczywiste, że pozornie problem ten sam nigdy nie jest identyczny; w każdym wypadku muszą istnieć mniejsze lub większe różnice. O wiele jest gorzej, jeśli istnieje tylko pozorne podobieństwo, co więcej, jeśli podobieństwo problemu polega na nieporozumieniu lub jego nieznajomości.

Zapożyczenie rozwiązania niewątpliwie jest wygodne. Będą istniały jednakże trojakiego rodzaju konsekwencje tego postępowania: albo rozwiązanie przeszczepione na własny grunt nie przyjmie się, albo będzie niezupełne, albo przyniesie szkody. Ten ostatni wypadek musi, oczywiście, nastąpić wówczas, gdy mamy do czynienia z nieporozumieniem co do podobieństwa problemów w kraju i zagranicą lub z ich nieznajomością.

Transplantując koncepcje zagraniczne na grunt polski — usiłujemy sadzić i hodować na piaskach mazowieckich, w naszym klimacie — cyprysy. Zabieg chybiony, co więcej — szkodliwy, gdyż bardziej są nam potrzebne plantacje ziemniaków, które nie są tak wspaniałe jak cyprysy, ale bardziej pożyteczne — dają wyżywienie masom głodnych i bezrobotnych, które do tak rekordowego odsetku ogółu ludności w porównaniu do innych państw (zrównajmy się z zagranicą na tym odcinku!) potrafiliśmy doprowadzić.

Cyprysem nad Wisłą byłoby przyjęcie przez Polskę koncepcji „Bauernstandu”.

Koncepcja stanowej organizacji włościaństwa oraz stanowego ruchu włościańskiego jest dziś zagranicą bardzo modna i trudno jej odmówić w wielu wypadkach, lecz tylko zagranicą, poważnego uzasadnienia. Koncepcja ta znalazła przymusową formę w postaci organizacji stanu włościańskiego na podstawie ustawy w Niemczech, dobrowolną zaś w wielu innych krajach, w których przy pomocy innych środków kultywowane są te same właściwie cele, co przez Reichsnährstand w Niemczech.

Punktem wyjścia jest stwierdzenie, że urbanizacja oraz uprzemysłowienie dezorganizują i niszczą życie wsi, co jest wysoce niekorzystne z punktu widzenia rozwoju społecznego i politycznego narodu. Miasta wyludniają wieś. Obok atrakcyjności życia w mias-

tach działają tu momenty gospodarcze. Miasta, przemysł dają zarobek, pozwalają na stabilizację życia, podczas gdy gospodarka na roli jest niepewna. Niepewność ta wynika z tego — tu już mamy do czynienia z doktryną — iż wieś musi gospodarować w całokształcie warunków gospodarczych, które są ułożone pod kątem gospodarki przemysłowej. Warunki rynkowe, system kredytowy w państwie i t. p. rozwijają się w dostosowaniu do potrzeb i metod pracy przemysłu. Rolnictwo w tych warunkach pracować nie może, gdyż struktura gospodarcza rolnictwa jest diametralnie różna od struktury przemysłowej, do której jest dostosowany współczesny ustrój gospodarczy. Gdy w przemyśle mamy do czynienia z periodycznymi kryzysami, w rolnictwie mamy do czynienia z kryzysem w permanencji, z tem, iż periodycznie ulega on pogłębieniu. Ten stan rzeczy powoduje płynność i niepewność pracy na roli.

Wieś jest ośrodkiem zdrowia, praca na roli daje społeczeństwu zdrowego człowieka. Wieś utrzymuje czystość rasy. Wieś kultywuje tradycje odrębności narodowej. Wieś jest czynnikiem konserwatywnym — ładu społecznego.

Miasto niszczy — fizycznie i psychicznie — człowieka; degeneruje go. Miasto wpływa na tworzenie się mieszaniny rasowej. Miasto umiędzynaradawia człowieka. Miasto stwarza korzystne warunki dla wrzeń i niepokojów społecznych.

Te dwie antytezy — miasto i wieś stworzyły koncepcję stanowego ruchu włościańskiego. Należy pamiętać, iż tłem tego jest atrakcyjność miasta, wyludnienie wsi.

Należy więc stworzyć, w interesie ogólnym narodu,takie warunki życia społeczno-gospodarczego, aby mogły one przeciwstawić się odpływowi ludności ze wsi do miast. *Przeciwdziałanie więc odpływowi ludności ze wsi do miast posiada tu istotne znaczenie. Na wsi musi być za mało ludności, a nie za dużo.*

Przeciwdziała odpływowi ludności ze wsi do miast stabilizacja stosunków wiejskich. Nie można negować, iż stabilizacja ta posiada swoje znaczenie nie tylko z punktu widzenia zabezpieczenia sobie dość dużego rezerwuaru sił wiejskich, lecz również z punktu widzenia spełnienia przez wieś tych zadań, które są przed nią stawiane. Stabilizacja musi polegać na stworzeniu odpowiednich warunków gospodarowania wsi, a więc musi zabezpieczyć odpowiedni poziom dochodów przez usztywnienie cen „rentownych", co z kolei prowadzi do sztywnej organizacji rynku (Marktregulierung, Marktordnung), musi dostosować rozchody do możliwości płatniczych rolnictwa, które warunkuje struktura gospodarcza inna, aniżeli struktura przemysłu, nadająca charakter stosunkom gospodarczym w państwie (rynek kredytowy, stopa procentowa i t. p.). Dostosowanie rozchodów rolnictwa do jego możliwości płatniczych wymaga: alimentowania rolnictwa w tani kredyt, tańszy aniżeli ten, z którego korzysta przemysł i który można dostać na wolnym rynku, obciążania rolnictwa niższemi stosunkowo podatkami, aniżeli te, które rebus sic stantibus są i mogą być ponoszone przez inne gałęzie życia gospodarczego. Ukoronowaniem stabilizacji jest niepodzielność gospodarstw, które posiadają te warunki rozwoju gospodarczego, o których wspomnieliśmy oraz istnieją w warunkach niedoludnionej i posiadającej możliwości odpływu ludności do miast — wsi.

Niewątpliwie, posiadanie ustabilizowanego życia wsi jest niezmiernie cenne dla państwa z punktu widzenia społecznego i politycznego. Jak widzimy, w celu posiadania takiej stabilizacji życia wsi — inne gałęzie życia społeczno-gospodarczego narodu — muszą płacić. Muszą ponosić ciężary dla utrzymania tej pepiniery. Następuje więc przewłaszczanie dochodu społecznego na rzecz wsi — możliwe do zniesienia w warunkach dużej zamożności, uprzemysłowienia i niewielkich rozmiarów tej pepiniery. Waga społeczna i polityczna Erbhofów — proces ten usprawiedliwia.

Czy stworzenie tego rodzaju systemu, w którym życie wsi rozwija się w odrębnych niejako warunkach, nie pozostających w ścisłym związku z ogólnymi warunkami gospodarczymi, w których rozwija się życie kraju — byłoby możliwe w Polsce?

Nikt nie może zaprzeczyć, iż dla ogólnego rozwoju życia społeczno - politycznego w Polsce byłoby ze wszech miar pożyteczne i pożądane, aby życie wsi mogło być ustabilizowane. Jednak formy organizacji stanowej nie mogą tu znaleźć zastosowania, gdyż z diametralnie innymi niż zagranicą warunkami społeczno-gospodarczymi mamy tu do czynienia.

W Polsce jest za dużo od 4 do 8 milionów ludzi na wsi. Nadmiar ten musi być częściowo wchłonięty przez miasta. Mamy tu do czynienia z zagadnieniem przeludnienia, a nie wyludnienia wsi. Musimy powodować jak najsilniejszy ruch ze wsi do miast, a nie odwrotnie.

Nie możemy, właśnie dla tego, iż rozwiązanie zagadnienia przeludnienia wsi zależy w dużym stopniu od uprzemysłowienia i urbanizacji kraju, iż w uprzemysłowieniu leży przyszłość gospodarcza i polityczna państwa, ponosić takich ciężarów na rzecz pepiniery wiejskiej, jakie ponoszą na przykład Niemcy. W dodatku, w naszych warunkach ciężary te musiałyby być o wiele większe. Lecz nawet wówczas, gdy ciężary te należałoby ponosić, to czy bylibyśmy w stanie zabezpieczyć rolnictwu sztywną cenę, sztywną organizację rynkową, tani kredyt, małe obciążenia podatkowe? Jest jasne, iż niemożliwe byłoby to do zrealizowania, a za wszelkie próby realizacji musielibyśmy płacić hamowaniem rozwoju, a nawet ruiną życia gospodarczego kraju. Odcięlibyśmy się bez reszty od wszelkich nadziei wydźwignięcia Polski na wyższe szczeble kultury materialnej oraz siły społecznej i politycznej; pchnęlibyśmy bieg wydarzeń w odwrotnym kierunku — ku dołowi.

Jeśli nie możemy zabezpieczyć w najbliższej przyszłości warunków społeczno - gospodarczych, umożliwiających stabilizację życia wsi polskiej — to, czy jest możliwe osiągnięcie tej stabilizacji na innej drodze? Normy prawne, organizujące stan włościański na zasadzie niepodzielności i dziedziczności (Erbhof) gospodarstw — dadzą zabieg formalny przy nieuregulowanej treści zagadnienia. W konsekwencji pogorszą stan rzeczy. Zamiast wpłynąć na unormowanie życia społecznego i politycznego kraju, nie rozwiązując na żadnym odcinku, w braku odpowiednich warunków gospodarczych, zagadnienia stabilizacji życia wsi,

stworzą nowe kadry ludzi, wśród których będzie rozwijało się niezadowolenie społeczne oraz będą krystalizowały się tendencje burzenia, a nie stabilizacji ładu społecznego i politycznego w Państwie. Kadry te będą składały się z tych, którzy zbędni są obecnie na wsi, których obecnie nie może jeszcze wchłonąć miasto, a którzy w następstwie realizacji koncepcji organizacyjnej stanu włościańskiego, opartej o Erbhof'y, będą musieli być wyrzuceni poza nawias życia wsi. Wyrzuceni — dokąd, gdy miasta nie będą ich jeszcze w stanie przyjąć?

Niezadowolenie społeczne tej kadry ludzi, zbędnych na wsi, jest dziś łagodzone możnością przeżycia, wyżywienia się na tych dzielących się drobnych, karłowatych gospodarstwach. Podzielność jest modulatorem niezadowolenia i wrzenia społecznego w Polsce. Co będą czynili ci, którym ta możność przeżycia zostanie odebrana?

Koncepcja organizacji „Bauernstandu" oraz koncepcja „Erbhofów" realizowana w Niemczech, wnosi pierwiastki konstruktywne do życia społecznego i politycznego narodu, jest czynnikiem wzmacniania tego życia. Realizowana u nas — byłaby czynnikiem osłabiania społeczeństwa i destrukcji. W naszych warunkach „marnowanie" majątku narodowego przez dzielenie gospodarstw, dające możność wyżycia, jest niestety, o wiele bardziej pozytywnym czynnikiem modulacji niezadowolenia społecznego, a przez to równowagi politycznej, aniżeli „Erbhofgesetz". Stworzenie natomiast pozorów organizacji stanu włościańskiego z pozostawieniem na boku sprawy podbudowy gospodarczej tej organizacji — będzie również chybione z punktu widzenia tych celów, które chciałoby się na tej drodze osiągnąć (chodzi o stabilizację życia wsi, a nie o pozory).

Nie należy zapominać, iż z punktu widzenia politycznego, siły i rozwoju Narodu, o wiele cenniejszym „majątkiem" jest człowiek, aniżeli nierozdrobniony obszar gruntu. O człowieka więc przede wszystkim należy się troszczyć. W budowie zaś siły, w dążeniu do rozwoju należy dokładnie poznawać problemy, które na tej drodze napotykamy, oraz szukać poważnych, istotnych i całkowitych rozwiązań, nie ułatwiając sobie zadań zapożyczaniem efektownych koncepcyj z zagranicy.

U W A G I

PROGRAM A ŻYCIE

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech ustroju kapitalistycznego, szczególnie w obecnym stadium jego rozwoju, jest eksploatacja przez kapitał finansowy i wielkoprzemysłowy obszarów, gospodarczo i kulturalnie zacofanych. Podstawowym warunkiem tej eksploatacji staje się oczywiście utrzymywanie stanu upośledzenia gospodarczego i kulturalnego eksploatowanych obszarów, krępowanie i utrudnianie ich rozwoju i postępu. Przy tem stosunki tego rodzaju wytwarzają się nie tylko pomiędzy mocarstwami europejskimi, a uzależnionymi od nich mniej lub więcej egzotycznymi państwami i państewkami, jak np. pomiędzy Anglią a „niezależnym" Egiptem, nie tylko pomiędzy metropolią a koloniami, lecz także wewnątrz państw politycznie jednolitych, lecz wykazujących w różnych swych częściach duże różnice poziomów rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Mając to na względzie przy ocenie rzeczywistości polskiej, należy skonstatować, że o ile faktem niezaprzeczalnym są wielkie dysproporcje w strukturze gospodarczej państwa polskiego, o ile prawdą są skrzydlate słowa o Polsce A i Polsce B, o Polsce uprzemysłowionej, względnie bogatej i kulturalnej, i o Polsce prymitywnej, ubogiej i ciemnej, — to nieuniknioną konsekwencją tych dysproporcyj powinno być dążenie finansowego i wielkoprzemysłowego kapitału Polski A do eksploatacji Polski B, do traktowania tej Polski B li tylko, jako źródła surowców i rynku zbytu dla przemysłu Polski A; dalej nieprzyjazne nastawienie wspomnianego kapitału do prób powstania i rozwoju na terenie Polski B własnego przemysłu; słowem dążenie do traktowania Polski B, jako sui generis terenu kolonialnego. Lecz nie tylko kapitał Polski A wykazuje te tendencje. Również kapitał zagraniczny, zwabiony zazwyczaj do Polski za cenę tych lub innych na jego rzecz koncesyj i nastawiony na eksploatację nieraz całych gałęzi gospodarki krajowej, główne ostrze swego nacisku skierowuje po linii najmniejszego oporu na tegoż kozła ofiarnego, na tęże Polskę B.

Można przytoczyć mnóstwo przykładów na dowód tego, że tezy powyższe nie są oderwaną od życia teorią, nie są wyimaginowane w atmosferze doktryn skrajnie-socjalistycznych dla wyszukania za wszelką cenę coraz to nowych sprzeczności i zgrzytów w ustroju kapitalistycznym, natomiast stanowią niestety aczkolwiek smutną, lecz całkiem prawdziwą rzeczywistość. Można wymienić przemysły, dla których na terenie Ziem Wschodnich znajdują się pod dostatkiem surowce, siły fachowe i wszystkie inne dane dla ich powstania i rozwoju, i które jednak nie powstają względnie nie rozwijają się na skutek przeciwdziałania już istniejących ośrodków tych przemysłów na terenie dzielnic zachodnich i centralnych. Można wymienić szereg zakładów przemysłowych na terenie Polski B, unieruchomionych przez kartele przemysłów, zlokalizowanych głównie na terenie Polski A. Nie jest też obce naszej rzeczywistości gospodarczej wydanie na łup kapitału zagranicznego całych gałęzi produkcji, rozwiniętych na terenie Polski B.

By nie mówić gołosłownie, wspomnijmy chociażby o przemyśle celulozowym i papierniczym, który zlokalizowany jest wyłącznie prawie na terenie Polski A pomimo, iż surowiec czerpie prawie wyłącznie z terenu Polski B; przemysł ten dąży jednak do utrzymania nadal obecnej wadliwej dyslokacji zakładów; duże inwestycje, dokonane w ostatnim czasie, dokonane zostały znowu na terenie Polski A; nieduże już obecnie istniejące na terenie Polski B fabryki papieru były nieczynne, do czego bezpośrednio czy też pośrednio przyczyniła się polityka kartelu papierniczego, w którym przeważającą większość stanowi oczywiście przemysł Polski A. Wspomnijmy o przemyśle prze-

robu odpadków zwierzęcych, zlokalizowanym również dotąd prawie wyłącznie na terenie Polski A, który ostro zwalczał powstanie w Wilnie analogicznej placówki przemysłowej, gdy zaś powstanie to stało się faktem — usiłował utrudnić jej pracę. Wspomnijmy o fabrykach zapałek i półfabrykatów zapałczanych na terenie Ziem Północno-Wschodnich, unieruchomionych przez ekspozyturę szwedzkiego trustu zapałczanego w Polsce. Te przykłady, dobrze znane każdemu, kto praktycznie styka się z życiem gospodarczym Ziem Wschodnich, stanowią niedużą część tego, co można jeszcze przytoczyć.

Jeżeli uznać, że zadaniem Państwa jest łagodzenie sprzeczności socjalnych, dzielnicowych i innych celem obrony słabszych oraz koordynacji interesów przeciwstawnych pod kątem widzenia dobra ogólnego, to problem stanowiska Państwa wobec sprzeczności wyżej opisanych nie będzie nastręczał żadnych trudności. Szczególnie, gdy Państwo wyraźnie stwierdza, że dąży do wyrównania dysproporcyj w rozwoju poszczególnych części kraju, do podniesienia gospodarczego, do uprzemysłowienia Polski B, gdy dążenie to uznaje za wytyczną swej polityki gospodarczej. Należy przy tem tylko pamiętać, że w tych warunkach integralną częścią programu dźwignięcia Polski B na wyższy poziom rozwoju gospodarczego powinna być obrona jej przed supremacją interesów kapitału finansowego i wielkoprzemysłowego zarówno obcego, jak też rodzimego, związanego z gospodarczo bardziej zaawansowanymi terenami kraju.

Można bez przesady powiedzieć, że teza powyższa panuje niepodzielnie na wyżynach ogólnych deklaracyj programowych kierowników nawy państwowej, natomiast wpływ jej wyraźnie maleje w miarę przesuwania się od deklaracyj programowych do konkretnych posunięć polityki bieżącej. Mało tego — opanowanie tych posunięć, skierowywanie ich na pożądane dla siebie tory stanowi najbardziej ulubioną i wypróbowaną metodę walki kapitału Polski A przeciwko podniesieniu gospodarczemu i w szczególności przeciwko uprzemysłowieniu Polski B. Duże znaczenie pod tym względem posiada doskonała organizacja reprezentacji i obrony interesów kapitału Polski A, dla strony drugiej niedostępna z wielu zrozumiałych względów. Przy tem równolegle z wzrostem zakresu interwencji Państwa w stosunki gospodarcze rośnie front ataku na próby podniesienia gospodarczego Polski B. Jednym z najsilniej atakowanych jest przy tem odcinek polityki taryfowo-kolejowej, na którym w rezultacie istotnie wzniesione zostają przeszkody do rozwoju Polski B. Taryfy kolejowe stają się niejednokrotnie dość poważnym narzędziem supremacji kapitału Polski A. Tak np. wspomniany już brak na terenie Polski B przemysłu papierniczego i celulozowego w znacznym stopniu odnieść należy na rachunek polityki taryfowo-kolejowej, która, faworyzując przewozy surowca drzewnego, stwarza impulsy do lokalizacji tego przemysłu nie w pobliżu źródeł surowcowych, lecz raczej bliżej rejonów największego zbytu jego wyrobów, czyli na obszarze Polski A. O problemie tym wspomina w swej niezmiernie interesującej pracy p. t. „Taryfy kolejowe, jako instrument polityki gospodarczej" doskonały znawca spraw taryfowo-kolejowych p. Adam Rudzki, podnosząc konieczność szerszej interwencji taryfowo-kolejowej na rzecz rozwoju gospodarczego i w szczególności uprzemysłowienia Ziem Wschodnich. Jednym z najbardziej jaskrawych przykładów poświęcenia przez państwową politykę gospodarczą żywotnych interesów gospodarki Polski B na rzecz wielkiego przemysłu Polski A jest utrzymywanie taryf na przewóz węgla na poziomie tak niskim, że niemożliwym staje się zbyt wielkich ilości miejscowego opału — drewna, które w dużych ilościach marnuje się bezużytecznie i gnije w lasach. Z wydarzeń najświeższych w tej dziedzinie odnotować należy usiłowania zagranicznego koncernu mydlarskiego Schichta, który jest właścicielem olejarni w Gdyni, do uzależnienia od siebie całego polskiego przemysłu mydlarskiego pod względem dostaw olejów z surowców egzotycznych. W tym celu koncern dąży do uniemożliwienia przerobu egzotycznych surowców olejarskich w głębi kraju oraz do zlokalizowania całego przerobu tych surowców w Gdyni przez podwyższenie taryfy kolejowej dla ich przewozu, co w pierwszym rzędzie uderzyłoby w interesy Ziem Wschodnich, nie tylko uniemożliwiając dalszy rozwój, lecz powodując nawet likwidację tych placówek przerobu olejarskich surowców egzotycznych oraz placówek produkcji mydlarskiej, które już obecnie tu istnieją. Losy tej sprawy się ważą. Za nią przyjdzie oczywiście szereg innych.

I w każdej z nich, jak dotąd, interes kapitałów, związanych z terenami o wyższym poziomie rozwoju, zmierzać będzie do skierowania decyzji na takie tory, by deklaracje najwyższych w Państwie czynników o konieczności podniesienia Polski B pozostały w sferze teorii. Trzeba będzie zatem, jak dotąd, dużo dobrej woli, wnikliwości i sumienności ze strony fachowych organów państwowej polityki gospodarczej, by usiłowaniom tym skutecznie się przeciwstawić i w imię dobra ogólnego rozstrzygnięć w sprawach bieżących z tej dziedziny szukać pod kątem widzenia faktycznej realizacji programu podniesienia gospodarczego Ziem Wschodnich, pod kątem widzenia wcielenia w życie wielokrotnych deklaracyj.

N. Kronik.

PARADOKS ROOSEVELTA

Miażdżące zwycięstwo, jakie nad swoim kontr-kandydatem, Landonem, i partią republikańską odniósł w Stanach Zjednoczonych Roosevelt na czele demokratów, zwycięstwo, które zapewnia obecnemu prezydentowi pozostanie u władzy do 1940 roku, jest przede wszystkim wielkim paradoksem. Ale — z tych, które najlepiej świadczą o głębokich przemianach, zachodzących w psychice społeczeństw XX-ego wieku.

Zwycięstwo Roosevelta jest tak wielkie, że nie tylko nie pozwala mówić o przypadku, o takiej czy innej kombinacji wyborczej, o tym czy innym „tricku" politycznym, ale z wszelką pewnością stwierdza, iż ma się do czynienia w Stanach Zjednoczonych z jakąś potężną *manifestacją* społeczeństwa za obecnym prezydentem. Osiągnięte przezeń 25 milionów głosów dobitnie tego dowodzą. Właśnie dlatego, że dotychczas różnice polityczne pomiędzy demokratami i republikami w Stanach były tak nikłe, że niejednokrotnie dla „europejskiego oka" nieuchwytne, właśnie dlatego, że za każdym razem wahało się pomiędzy

obu partiami zwycięstwo do ostatniej chwili, obecna manifestacja zasługuje na specjalne podkreślenie. Bo w gruncie rzeczy któż może wiedzieć, ilu z owych 14 milionów, którzy oddali swe głosy na Landona, nie oddałoby dziś czy za dwa miesiące głosu swego na Roosevelta?... Wygląda, jak gdyby ponad partykularnemi „republikańsko-demokratycznemi" rywalizacjami wyrastał jakiś nastrój społeczny, który chwilowo ogarnął trzy piąte wyborców, a jutro może ogarnąć ich — pięć szóstych...

Ale dlaczego nazywamy zwycięstwo to paradoksem? Dlatego, że w gruncie rzeczy — wbrew temu, co się będzie wypisywać i już się wypisuje w prasie całego świata na ten temat, — brak jest dla zwycięstwa Roosevelta bardziej wyraźnych *materialnych* założeń. Innymi słowy, obserwując tylko „papier", nie wiadomo właściwie, dlaczego wyborcy amerykańscy w tak zdecydowanej liczbie zaufali obecnemu prezydentowi i nadal. Bo proszę tylko zastanowić się:

Koniunktura amerykańska zwyżkuje, obroty się wzmagają, ale bynajmniej ani jedna ani drugie nie osiągnęły swego punktu kulminacyjnego. Ba — nie zaczęły właściwie jeszcze rozwijać się na serio. Cóż z tego, że wskaźnik produkcji przemysłowej wzrósł w ostatnich miesiącach do poziomu o jakieś 80% wyższego niż „dno kryzysu" w 1932 r., skoro nie sięga jeszcze poziomu z 1929 roku? Cóż z tego zresztą, że produkcja wzrasta, skoro w połowie r. b. jeszcze według obliczeń American Federation of Labour było w Stanach 11,1 milionów bezrobotnych t. j. zaledwie o 2 miliony mniej niż w 1932 roku? Gdzież szukać psychologicznego wytłomaczenia popularności Roosevelta w masach, skoro według Survey of Current Business z 1935 r. dochód społeczny Stanów, który w okresie od 1929 r. do 1932 r. spadł o 40% — z 78,6 miliardów dol. na 48 miliardów, podniósł się do 1934 r. zaledwie... o 3%...

Co więcej przecież, polityka gospodarcza Roosevelta nie uzyskała sankcji najwyższych władz sądowych Stanów Zjednoczonych. Dla każdego, kto zna rolę Najwyższego Trybunału w Stanach, zrozumiałe jest, iż prezydent, którego szereg ustaw zostało przez Trybunał ten zdyskwalifikowanych, nie może liczyć na wielką popularność w szerokich sferach społeczeństwa. Przynajmniej — nie mógłby liczyć dotychczas...

W rezultacie Roosevelt miał przeciwko sobie: dużą większość wielkiego kapitału (z przyczyn zasadniczych...), niedorozwój koniunktury wewnętrznej, wielkie w dalszym ciągu bezrobocie, wyroki Najwyższego Trybunału, niezrównoważony budżet. Cóż miał za sobą...

Właściwie — tylko jedno: swoją opinię interwencjonisty. Niewyrobione, nierozumiejące istoty rzeczy masy ludności amerykańskiej nie wiedziały, oczywiście, czy prezydent ma rację czy też nie — ale wiedziały, iż *ten prezydent* właśnie był pierwszym, który czynnie wmieszał się do spustoszeń, jakie kryzys poczynił w życiu milionów ludzi. Czy „New Deal" jest gospodarczo słuszny czy nie, czy Trybunał miał rację, potępiając Agricultural Adiustment Act czy Guffey Act, o tem nie wiedziano, ale odczuwano, że Roosevelt chciał ustawami temi *czegoś* dokonać, *coś* osiągnąć... To już wystarczyło.

W tej Ameryce, uchodzącej dotąd za kraj klasycznego indywidualizmu, gdzie jeszcze niedawno chłopiec biurowy, o ile zdołał „take his chance", stać się prezesem miliardowego trustu, gdzie każde ograniczenie swobody gospodarowania było nieomal uważane za sprzeczne z konstytucją (konflikt prawny z okazji sankcji wobec Włoch, polegający na ścisłym stosowaniu formuły, iż „amerykaninowi nie można zabronić handlowania z kimkolwiek"...) — w tej Ameryce zrozumiano, iż wyjście z impasu gospodarczego inaczej niż w drodze interwencjonistycznej polityki gospodarczej państwa jest *niemożliwe*. Bardziej nawet odczuto niż zrozumiano. Ale bodajże to znaczy jeszcze więcej...

a. w.

CZY „POLITYKA GOSPODARCZA" — CZY... INTERES POLITYCZNY

Zachowanie się organu naszej „szkoły manchesterskiej" w mieście Łodzi (z dojazdami do Warszawy) pozostawia od szeregu miesięcy już bardzo wiele do życzenia. Tupet, z jakim „Polityka Gospodarcza" udaje, że rozumie się na bieżących sprawach polityki gospodarczej państwa, jest dość irytujący. Czytając to pisemko wypełniane przez teoretyków ale zato wydawane przez doskonałych (istotnie — doskonałych) praktyków w zakresie obrony interesu gospodarczego, który reprezentują, możnaby nabrać przekonania, iż redaktor i zespół redakcyjny tego pisma tylko przez jakieś straszliwe nieporozumienie nie zajmują czołowych ośrodków dyspozycji gospodarczej w Polsce... Przecież oni wszystko o wszystkim „wiedzą lepiej", ba—nie tylko wiedzą, ale i z ironicznym wzruszaniem ramion odnoszą się do wszystkich innych, którzy... „nie wiedzą". Oni są najbardziej europejscy, oni jedni czytają „Europe Nouvelle", „Financial News" i „Die Bank"... Inni nie umieją, nie czytają, nie orientują się — i dlatego robią głupstwa... Na pustyni naszej polityki gospodarczej istnieje tylko — „Polityka Gospodarcza"... i ewentualnie ci z zewnątrz, którzy do niej napiszą...

Każdemu wolno mieć takie czy inne poglądy gospodarcze i bronić ich wobec ogółu. Trzeba jednak, aby był to *pogląd*, a więc wynik wejrzenia w jakąś sprawę w sposób dokładny, i aby była to *obrona* — a nie ujadanie. Ton teoretyzujących „schoengeistów" ekonomicznych z „Polityki Gospodarczej" właściwie uniemożliwia z nimi wszelką dyskusję. Zwłaszcza, że nigdy nie wiadomo, ile w tej „teorii" jest najbardziej praktycznej kalkulacji...

Weźmy sobie taki mały, odcinkowy przykładzik. Ukazuje się w którymś z ostatnich numerów „Polityki Gospodarczej" obszerna notatka p. t. Przed nowym układem kontyngentowym z Niemcami. Pierwsze zdanie stwierdza, iż „zwolennicy gospodarki związanej wszelkiego autoramentu uważają, że cena światowa jest fikcją". I oto — powiada „Polityka Gospodarcza" — „zawarta na podstawie takiego właśnie rozumowania umowa handlowa pomiędzy Pol-

ską a Niemcami stała się w wyniku swego działania wręcz szkolnym (sic...) przykładem, że lekceważenie światowej gry cen nie może wyjść gospodarczo na zdrowie żadnemu z partnerów".

Poczem następuje „wykład": układ polsko-niemiecki przewidywał 170 milionów zł. wzajemnych obrotów a osiągnął tylko 90 milionów zł. Pomijając nieznajomość przedmiotu, która ujawnia się w tem, iż „Polityka Gospodarcza" nie wie, że w okresie pierwszych miesięcy trwania układu likwidowały się dawne tranzakcje kompensacyjne pomiędzy obu krajami tak, iż *obrót* polsko-niemiecki wyniósł w tym roku trwania układu nie 90 a dobre 120 — 130 milionów zł., można się zapytać: no więc co? Przypuśćmy, że *nie byłoby* układu: czy wówczas obroty byłyby większe? Niewątpliwie mniejsze. Więc czegóż „dowodzi" argument „Polityki Gospodarczej"?... Niczego.

Ale naszym „Katheder-liberałom" chodzi głównie o to, że wywóz niemiecki do Polski jest drogi. Że zatem „zmusza się" polskie życie gospodarcze do sprowadzania z Niemiec po wysokich cenach a nie czyni się zadość wszelkim jego żądaniom sprowadzania po niższych z Anglii i Francji. „Polityka Gospodarcza" uważa widocznie, że kwestia obrony bilansu płatniczego państwa dłużniczego i jego zapasu dewizowego w ogóle nie istnieje. Najbardziej liberalnie nastawiona na świecie instytucja, jaką bezwątpienia jest Międzynarodowa Izba Handlowa w Paryżu, lansuje w swym dziele zbiorowym o „Odbudowie gospodarstwa międzynarodowego" zdecydowany pogląd, iż kraje dłużnicze mogą znosić ograniczenia dewizowe dopiero, gdy załatwiona zostanie sprawa zadłużenia międzynarodowego. Organ p. Lauterbacha ma bardziej widocznie „szeroki gest" pod tym względem niż emanacja opinii gospodarczej samych krajów wierzycielskich... Co gorsza, organ ten albo w ogóle nie rozumie sprawy, o której pisze, albo popełnia umyślnie tę „drobną" nieścisłość, że zaraz potem określa układ z Niemcami jako „przymusowe zaaplikowanie polskiemu gospodarstwu sztucznych nożyc importowo - eksportowych, t. j. drogiego importu wzamian za *tani* eksport"...

Ta „taniość" eksportu, eksportu, o który wprost dobijają się wszyscy polscy eksporterzy z uwagi na *właśnie wysoki* poziom cen uzyskiwanych na rynku niemieckim, dyskwalifikuje właściwie opinię „Polityki Gospodarczej" w tym względzie. Uzupełnienia tych „poglądów" w postaci twierdzenia, iż wobec zwyżki cen rolnych u nas „szanse układu polsko-niemieckiego doznały polepszenia" (czy to ma w opinii „Polityki Gospodarczej" *bezpośredni* wpływ na chłonność naszego rynku dla towarów niemieckich?...), dalej — w postaci mięszania do układu towarowego z Niemcami sprawy odmrożeń jakichś 500 milionów marek..., o których nikt nie wie, są już tylko drobnymi kwiatkami. Nauka o kalkulacji handlowej w umowach międzynarodowych — jest zwykłym fałszywie brzmiącym truizmem...

Zdarza się, że ktoś napisze notatkę o skomplikowanej sprawie gospodarczej, na której się nie zna, i strzeli głupstwo... Normalnie nikt nie powinien zwracać na taki lapsus uwagi: każdemu się może zdarzyć. Ale panowie, którzy używają w „toniku" swym form profesorskich i, wiedząc wszystko „lepiej", w gruncie rzeczy piszą absurdy praktyczne i truizmy teoretyczne, wyglądają w sumie — śmiesznie.

...Czyby zamiast całego „uczonego" wywodu o stosunkach polsko-niemieckich nie wystarczyło napisać: drażni nas Hitler i Schacht, a, ponieważ to nas nic nie kosztuje, bo wpływu i tak na to nie mamy, powiemy sobie — precz z układem z Niemcami... I „popularnie" — i panu Kwiatkowskiemu nieprzyjemność się przy okazji zrobi...

x. y.

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, ul. Nowy-Świat 37 m. 15

Telefon Nr. 6.76-73

NOTATKI

CHŁOP I STRAGAN

Lekarstw na przeludnienie wsi jest sporo. I wszystkie są dobre, co nie znaczy jeszcze, że chorego całkowicie postawią na nogi.

Przeludnienie wsi można leczyć emigracją. Była to w swoim czasie kuracja, dość nagminnie stosowana. kuracja jednak — niewątpliwie — końska. Możebyśmy jej i teraz nie poniechali pomimo całego szeregu słusznych zastrzeżeń, gdyby nie zdecydowana niechęć państw egzotycznych do naszego chłopa, chociaż pracuje świetnie i rozmnaża się jeszcze lepiej.

Następny środek — zresztą najpoważniejszy — to reforma rolna. Dużo już na jej temat przelano atramentu, ostatnio poświęcono jej wiele słusznych uwag w „Gospodarce Narodowej" i nieprędko jeszcze będzie można powiedzieć o niej, że jest skończona. Równolegle z nią postawić by można lekarstwo następne: intensyfikację produkcji rolnej, która miałaby na celu pogłębić dodatnie strony reformy agrarnej i usunąć jej strony ujemne.

Na ostatku — uprzemysłowienie. W tym wyrazie mieści się jednak coś więcej, niż sama tylko industrializacja. Nie chodzi więc jedynie o fabryki, w których by pracował obecny niezatrudniony rolnik, ale również o warsztaty rzemieślnicze i o przemysł ludowy. Zresztą te fabryki i warsztaty musiałyby powstawać tak dobrze w miastach, których rozwój postępuje w Polsce stanowczo za wolno, jak i na wsi, której prymitywna gospodarka i takaż konsumcja nie mogą wróżyć nic dobrego.

Jeden z wymienionych środków zwalczania przeludnienia wsi, a mianowicie reforma rolna, jest atakowany przez ludzi, których tradycyjnie zwykło się lokować na prawicy politycznej. Tylko, że taki np. „Czas" atakuje reformę rolną z uwagi na interesy większej własności ziemskiej, utożsamiając je bez reszty z interesami państwa i narodu, podczas gdy organ młodych, „ABC", czyni to z obawy, że hasło reformy rolnej odwróci uwagę chłopa od straganu. A o tym straganie chcemy właśnie mówić.

Zmiana struktury agrarnej i uprzemysłowienie (o emigracji zapomnijmy, a intensyfikacja gospodarki chłopskiej ma sens jakościowy, nie ilościowy) nie wystarczą, aby przeludnienie wsi w Polsce zlikwidować. Znawcy obliczają pozostałą mimo wszystko „nadwyżkę" na 2.000.000 ludzi, nie mających pracy i środków do życia. Stąd też chłopi zaczynają się brać do handlu. Biorą się, bo muszą — innej rady nie ma. Można, co prawda, powiedzieć, że tonący brzytwy się chwyta, ale w danym wypadku przysłowie to nie ma w sobie cech dyskwalifikacji, lecz — potwierdzenia rzeczywistości. Istotnie, chłop znajduje się w sytuacji tonącego, a handel, ponieważ do łatwych nie należy, nader przypomina brzytew.

Że chłop garnie się do handlu, to ani dziwota, ani pierwszyzna. Sklepiki chłopskie (nie mówiąc już o tem, że w spółdzielniach towarowych liczy się dzisiaj rolników na ca. 700.000) powstawały jeszcze przed kryzysem i przed bojkotem handlu żydowskiego, podjętym przez ugrupowania polityczne. Jasne zaś jest, że skoro chłop idzie do fabryki lub staje się chałupnikiem, tracąc w obydwóch wypadkach samodzielność gospodarczą, to nie widać dostatecznego powodu, by przeszkadzać mu w dojściu do własnego straganu.

Dojście do straganu, który bywał dotąd najczęściej atrybutem jednej tylko grupy — żydowskiej — może nastąpić albo w drodze normalnego współzawodnictwa handlowego, albo w drodze nienormalnej: za pomocą walki fizycznej. Kto jednak w „zaburzeniach i bójkach na jarmarkach" widzi tylko „rzeczy okropne" (jak się wyraził inż. Z. Chmielewski w „Czasopiśmie Spółdzielni Rolniczych" Nr. 15 — 16 z r. b.), ten zdaje się nie doceniać momentów strukturalnych w naszym handlu, który w wyniku wiekowych błędów i zaniedbań przekształcił się w coś, co przypomina „węzeł gordyjski". O rozsupłaniu tego węzła jakoś w historii głucho... Walka jest też niekiedy warunkiem pracy — pokojowej, a klaps, wymierzony nieposłusznemu dziecku, działa przede wszystkim na jego system nerwowy i sprzyja prędkiemu powrotowi do równowagi. Nie należy zaś zapominać, że żydzi posiadając monopol w całym szeregu gałęzi przemysłu i handlu, zazdrośnie tego monopolu strzegą, wypowiadając się jednocześnie przeciwko zasadzie „numerus clausus", o ile by ona była dla nich niedogodna, i stosując (niejednokrotnie przy użyciu siły fizycznej lub podobnych — jeśli chodzi o skutek — środków nacisku moralnego) zasadę „numerus nullius" tam, gdzie to dla nich jest dogodne. W tych warunkach kij, w którego obronie bynajmniej nie występujemy, przełamuje nietykalność i wyłączność jakiegoś zawodu w rękach jednej grupy.

Ale nie kij jest ważny i nie o walkę z żydami chodzi, lecz przede wszystkim o potrzebę znalezienia pracy dla chłopa. Raz będzie to warsztat przemysłowy, kiedy indziej znowu — ów stragan, co tyle wrzawy narobił w prasie spółdzielczej, działającej zresztą w jak najlepszej wierze. Prasa ta (zwłaszcza inż. Chmielewski) ma pod jednym względem niewątpliwą rację: spółdzielczość lepiej i celowiej rozwiązuje kwestię dzisiejszego złego pośrednictwa, a jej wychowawcze znaczenie stoi bodaj czy nie na pierwszym miejscu (stąd wielu chłopów, bijących się z żydami, stroni od spółdzielczości). Nie zmieni to jednak w niczym faktu, że, ilościowo biorąc, sieć spółdzielcza jest niedostateczna, że spółdzielczość nie wszędzie da sobie radę i że nie zawsze trafia ona chłopu do przekonania. Spółdzielnia spożywcza — dobra rzecz, ale dba tylko o chłopa - spożywcę, zapominając, że chłop jest także wytwórcą, a może być ponadto i kupcem (t. j. elementem w wymianie czynnym).

Czyż więc spółdzielnie mają się na chłopa gniewać o to, że woli własny stragan, niż udział w kooperatywie? — Zrozumiałe, że nie! A w takim razie przed spółdzielczością stoją do wyboru dwa środki: agitacja i werbunek — to jeden, pomoc instrukcyjna i handlowa — to drugi środek. Można, zresztą, stosować obie metody albo od drugiej przechodzić do pierwszej. Ukraińcy napewno by tak zrobili.

Organizowanie chłopskiego handlu przez związki kupieckie wydaje się mrzonką. Pomiędzy chłopem a kupcem, na którym wyrosła Naczelna Rada Zrzeszeń Kupiectwa Polskiego, istnieje ogromna różnica warunków pracy, poglądów i dążeń. Spółdzielnie kupieckie, tworzone pod egidą Naczelnej Rady, nie są dla chłopa, tylko dla średniego, zasiedziałego kupca. Hurtownie, w których będą się zaopatrywały chłopskie stragany, tworzą już prywatni kupcy z Poznańskiego. Zadąsanej spółdzielczości grozi spóźnienie się i — wyeliminowanie. Chłopa to również nie wzmocni. Po cóż więc ten „prycypialny punkt widzenia"?...

k. b.

USZTYWNIONY KREDYTODAWCA

W sprawozdaniach izb przemysłowo - handlowych próżno szukalibyśmy wiadomości o stosunku samorządu gospodarczego do zagadnień kredytowych. O ile izby rzemieślnicze zagadnieniom tym poświęcają stale dużo miejsca, o tyle ich zamożniejsze koleżanki uznały ów problem widocznie za należycie rozwiązany, skoro go systematycznie przemilczają. Czy dlatego, że sprawy kredytowe zostały pomyślnie rozwiązane? — Nie. Raczej dlatego, żeby się nie narażać lakonicznemu i tajemniczemu Związkowi Banków.

Problem kredytów drobno - przemysłowych i drobno - kupieckich nie ma wzięcia w sferach samorządu przemysłowo - handlowego. Mimo to istnieje, a ponadto — przedstawia się źle, b. źle. Wykazała to ostatnio (w okresie poprawiającej się koniunktury!) ankieta, przeprowadzona przez tygodnik „Kupiec — Świat Kupiecki", oficjalny organ Związków Towarzystw Kupieckich Polski Zachodniej, a więc dzielnicy zamożniejszej, solidniejszej, gospodarczo bardziej wyrobionej i dysponującej lepszym aparatem kupieckim i bankowym.

Skarżą się kupcy województw zachodnich, że śląskie banki, skrępowane przez swe centrale w Poznaniu i Warszawie, są nieruchawe, ciężkie, nieufne i zbiurokratyzowane, że brak w nich „nastawienia na interesy z małym człowiekiem", że „żaden z banków polskich na Śląsku nie specjalizuje się w transakcjach z t. zw. małym handlem", że interesują się one tylko wielkimi firmami i dużym jednorazowym zyskiem, że natomiast rozwój banków i banczków żydowskich opiera się na transakcjach drobnych a masowych. To jeszcze nie wszystko: tam, gdzie kupiec jest klientem banku, bank traktuje go formalistycznie i biurokratycznie, wyniośle i nieuprzejmie. Podania o pożyczkę załatwiane są tygodniami (ci sami kredytobiorcy uzyskują kredyt w bankach niemieckich i żydowskich bez najmniejszej zwłoki), przekroczenie akredytywy o drobną sumę powoduje wypowiedzenie kredytu, odrzuca się weksle klientowskie z powodu drobnych usterek, nie ułatwia się klientom współpracy z bankiem (kupcy nie znają norm i warunków redyskonta, które powinny być im podane z góry do wiadomości). Specjalnego smaku nabiera formalistyka zabezpieczenia pożyczki: banki prywatne „równo, sztywno z... hipoteką w ręku" odrzucają nawet 100%-we zabezpieczenie, jeżeli tylko nie odpowiada ono wymaganiom formalno - papierowym. Jeden z uczestników ankiety podaje, iż, zabiegając o akredytywę wzgl. redyskont, ofiarował jednoczesne złożenie bankowi wkładu równej wysokości, jako depozytu terminowego, który mógł być winkulowany. „Zamknięty w skorupie" formalizmu bank odpowiedział: „Albo hipoteka, albo nic". Mimo perswazyj, że „hipoteka nie chroni banku od zamrożonych pretensyj", że „wymaga kosztownej i formalistycznej drogi egzekucyjnej", polski bank odmówił kredytu. Kupiec mimo to kredyt dostał, ale w banku... gdańskim, któremu wystarczyła połowa gotówki (wkładu) i który udzielił dwa razy większego redyskonta. Innemu znowu kupcowi, który nie zalegał ani na jeden grosz ze spłatą dawnych zobowiązań i posiadał w banku książkę wkładową, bank — uporczywie domagając się zabezpieczenia hipotecznego — odmówił udzielenia kredytu. Najcharakterystyczniejsze jest jednak ujęcie całokształtu tych spraw przez skarżącego się kupca, który przerzucił się z konieczności na obroty czekowe z P. K. O. „Miałbym wprawdzie — pisze kupiec — dużo życzeń zarówno co do kosztów niesłusznych przy realizowaniu czeków oraz oprocentowania wkładów czekowych. Ale czegóż od państwowej ciężkiej maszyny więcej oczekiwać? Od banku prywatnego oczekujemy jednak i spodziewamy się kupieckiej, a nie urzędniczej obsługi".

Aparat bankowości prywatnej okazał się aparatem ciężkim, usztywnionym, zbiurokratyzowanym. Drobni kupcy, przemysłowcy i rzemieślnicy odchodzą z kwitkiem, bo banki maniacko żądają hipoteki. O kredycie zastawnym, o redyskoncie warrantów, ani słyszeć nie chcą. Co się nie mieści w formularzu — nie mieści się i w okienku bankowym. A potem banki prywatne się dziwią, że ich rola się kurczy i że etatyzm wypiera je krok po kroku.

br.

POSADY

Co raz częściej się słyszy i czyta[1]), że młodzi ludzie, posiadający ukończone studia — czasami wyższe, najczęściej średnie — nie wiedzą, co zrobić z otrzymanym dyplomem, który im nie zapewnił... posady. Ludzi takich ma być sporo, jako że rok rocznie otrzymuje maturę ca. 20.000 chłopców i dziewcząt, kształcących się w szkołach średnich i seminariach nauczycielskich, oraz z górą 20.000 wychowańców szkół i kursów zawodowych; ponadto ok. 6.000 młodzieży opuszcza co roku wyższe uczelnie, wykazując się dyplomem, a nawet doktoratem. Ilu tych maturzystów, magistrów i doktorów wchłania życie, t. zn. ilu z nich zarabia na swe utrzymanie — określić trudno. Gdyby zapotrzebowanie było na wszystkich, nie słyszelibyśmy o bezrobociu wśród młodzieży, która uzyskała wykształcenie conajmniej średnie.

Pęd do wiedzy jest zawsze plusem a nie minusem. Wiedzy w Polsce, wiedzy powszechnej i masowej, nie ma zbyt wiele, przeciwnie — jest jej stanowczo za

---

[1]) W jubileuszowym (100-m) numerze „Prosto z mostu" p. A. Junosza - Gzowski opisuje, jak to należący do polskiego małomieszczaństwa młodzieńcy „włóczą się, spacerują, odwiedzają świetlice, zapisali się do Strzelca, są strażakami, wystawiają sztuki dramatyczne na amatorskiej scenie i... czekają... czekają na coś", ponieważ „wszyscy mieli zamiar być urzędnikami w magistracie", a tam i w sąsiednich gminach wszystkie etaty zajęte.

mało. Jak na 33-y milionowe państwo, ilość przeszło 40.000 maturzystów (absolwentów) szkół ogólnokształcących i zawodowych oraz 6.000 wychowańców szkół akademickich nie rości sobie pretensji do wygórowanej. Ale mimo to młodzi ludzie oczekują na posady...

Otóż to: oczekują. Czekają chłopscy synowie, których wykształcenie kosztowało nie mało, nie jedna bowiem morga gruntu zmieniła z tego powodu właściciela. Czekają synowie rzemieślników i robotników, których (t. zn. ojców) ambicją było odsunięcie następnego pokolenia od przedmiotu i warunków pracy, z jakiej żyli oni, ojcowie. Czekają (coprawda w znacznie mniej groźnym stopniu) synowie urzędników i wojskowych, mający zająć stanowiska ojcowskie. Czekają niekiedy, ale to już tylko w rzadkich wypadkach (czyżby przez snobizm?...) synowie plutokracji, jako że „praca na swoim" nie zawsze jest możliwa w... spółce akcyjnej.

W oczekiwaniu tym jest dużo wpływu kryzysu, ale w jeszcze większym stopniu — psychozy. Psychozy, która ogarnia elementy polskie, jako że żydzi, niemcy i ukraińcy niemal zupełnie na tę chorobę nie cierpią. Nasi właśni inteligenci (z uwagi na posiadany przez nich *formalny* dowód uzdolnienia) nie idą na spotkanie kariery, powodzenia, pieniędzy czy sławy, lecz siedzą w domu, przekonani, że ich znajdą i poproszą, a oni łaskawie raczą wyrazić swą zgodę. Młodzi ludzie chcieliby *wzamian* za maturę lub dyplom otrzymać stałą pensję miesięczną. Nie musi ona być duża, byleby nie trzeba było ryzykować, starać się, głową mur przebijać. Bez życiowego przygotowania, bez rzetelnej znajomości rzeczy, a tylko z papierkiem w kieszeni, chcieliby zajmować stanowiska referentów, w ostateczności — kancelistów, przekonani, że być referentem czy kancelistą to przecież żadna sztuka. W rezultacie większość niższych stanowisk obsadzona jest przez nieuków (z dyplomami), którym się tak w głowie poprzewracało, że nie potrafią udzielić dokładnych informacyj człowiekowi, który miał nieszczęście zetknąć się z urzędnikiem, w swoim czasie marzącym o posadzie. W tych warunkach słowo: „posada" zdaje się mieć wiele wspólnego ze słowem: „osiadać" (na laurach...) albo: „osadzać się" (wiadomo, że ciała *cięższe* osiadają na dnie).

Rzeczywiste potrzeby polskiego życia społecznego i gospodarczego nie pozwalają na istnienie kasty wykolejeńców, szukających posady. Posad się nie szuka, tylko się je — bierze. Matura czy dyplom nie jest zasługą, tylko ułatwieniem w wyścigu pracy. Do startu w tym wyścigu powinna służyć wola, energia, inicjatywa. Czekający na posady stwierdzają, że im tych czynników brak. Z takimi mankamentami nie mogą być przyjmowani na jakiekolwiek stanowiska (nawet kancelaryjne) ani synowie chłopów, ani wyższych urzędników. Służba państwowa nie może być ochronką dla młodzieży wykolejonej przez własną a fałszywą ambicję; powtarzając oklepane „bon mot" zawodowego sierżanta, powiemy: „to nie uniwersytet, tu trzeba myśleć".

Posady w sensie ujścia dla ambicji twórczej są w Polsce naprawdę w pokaźnej liczbie. Ci, co ze wsi wyszli, wiedzą, czego tej wsi brak. Pieniędzy? — tak jest, ale oprócz tego: inicjatywy, energii i woli.

z. ł.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37/15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.